

Leszka portret szczecińsko-przelotny

Zapytany o to, czy Go dobrze znałem, odpowiedziałbym bez wahania twierdząco. Jednak poproszony o pomoc przy sporządzeniu portretu pamięciowego nie byłbym już pomocny w dostarczeniu wiarygodnego materiału do rysopisu. Niewysoki, nieco tęgi, masywny. Twarz skupiona w pewności siebie. A potem już same niepewności. Zawsze krótko przyszyty, łysiejąco-siwiejący, ale czy brunet? Prawdopodobnie. Oczy szare? Chyba tak. Okulary? Niekoniecznie, może tylko do czytania, miał ich co najmniej dwie pary. Wąsy? Może okresowo, nie wiem...

Materiał wspomnieniowy nigdy nie jest kompletny i ciągły, więc scalony wizerunek powstaje w mgnieniach subiektywnych spojrzeń na zaledwie wyrywki życia – przeważnie wylosowane przypadkiem. Próbuje się z nich zrekonstruować niedostępną całość, która znajduje się poza zasięgiem bezpośredniego świadectwa. Wspomnienie osoby z konieczności powstaje jako bezładny zbiór nakładających się na siebie migawkowych obrazów, dopełniony kolekcją zasłyszanych i domysłów. Łatwiej przywołać poszczególne sytuacje i zdarzenia niż samą postać, która grała w nich główną rolę.

Pamięć niezapisana zawodzi, syntetyzując obraz, plącze czasy i przestrzenie, myli okoliczności spotkań, z których pozostają zazwyczaj zniekształcające faktografię wrażenia. Szczęśliwie od 1980 roku prowadzę dziennik, liczący dziś już 20 tomów, i sporządziłem doń szczegółowy indeks, który pozwala wyławiać dowolne tematy i nazwiska na każdą okazję. Obficie reprezentowane jest w nim hasło „Szaruga Leszek”. W notatkach tego diariusza, chronologia spotkań zagęszcza się w latach 90. XX wieku, a potem rozrzedza, niemniej dałoby się z nich złożyć niejeden portret dynamiczny albo po Witkowsku – „wielokrotny”. Zapis wydarzeń pozwala ustalić daty i okoliczności spotkań, a nawet ułożyć zarys kalendarium, które może posłużyć za źródło przyszłym biografom. Na biografię mnie nie stać z uwagi na zawężoną do Szczecina perspektywę i chronologię ograniczoną do III RP, toteż pozostawiam to dzieło innym – z wiarą, że jeśli kiedyś powstanie, będzie bestsellerem.

Przede wszystkim chciałbym przywołać początki naszej znajomości, które w tym wypadku zbiegają się chyba z początkiem Jego największej aktywności twórczej, a dla mnie z czasem opóźnionego debiutu i wkraczania w przedśionki życia literackiego – recenzjami w czasopiśmie i uczestnictwem w cudzych wieczorach autorskich. Ważne wydaje się właśnie społeczno-kulturalne tło pierwszego spotkania, gdyż początek lat 90. ubiegłego stulecia można uznać za odrębną epokę. Transformacja ustrojowa z jednej strony przyniosła niespotykaną dziś obfitość spotkań z pisarzami, z drugiej – była kontynuacją

wydawniczego zastoju, tyle że motywowanego blokadą spowodowaną już nie cenzurą, ale raczkującym kapitalizmem. Efemeryczne, powstające i upadające po wydaniu 3 książeczek oficyny rodziły nieliczne tomiki poetyckie, i to w bólach niekończących się negocjacji o sfinansowanie lub sponsoring. Rozmowy i prezentacje nielicznych szczęściarzy posiadających już w swym dorobku książki kontrastowały z utajonym potencjałem i frustracją w tłocznej poczekalni wciąż niespełnionych debiutantów.

Zdarzyło się to w podziemiu, niestety już nie politycznym, z którym Leszek był związany wcześniejszą działalnością, lecz całkiem legalnym, bo architektonicznym – w Piwnicy przy Krypcie, znajdującej się w Zamku Książąt Pomorskich. Nikt jakoś nie kwestionował grobowej nazwy tej instytucji i nie dostrzegał paradoksu w tym, że kwitło w niej bujne życie artystyczne i towarzyskie. Zdarzyło się to podczas Jego wieczoru autorskiego w ramach cyklu prowadzonego przez Henryka Banasiewicza 10 grudnia 1992 roku. Tuż przed rozpoczęciem imprezy spisywał coś w trudnym wobec otaczającego gwaru skupieniu – z rutynowym spokojem profesjonalisty, który kontrastował z moim pełnym napięciem oczekiwaniem, bo ważyły się losy debiutu. Chyba w kwadrans kartkę formatu A5 zappełnił obustronnie długopisowym maczkiem. Z jednej strony ucieszyło mnie tempo (jakże zaskakujące w porównaniu z wcześniejszymi procedurami finansowo-edytorskimi), gdyż przynajmniej nie będę czekał na werdykt wydawniczy miesiącami. Z drugiej strony jednak przeraziła mnie błyskawiczność lektury i dokonanie zleconej krytyki *a vista*, może w kwadrans. A po zakończeniu autorskiego występu, kiedy część oficjalną zwyczajowo dopełnialiśmy biesiadą w niedalekim zamkowym lokalu prowadzonym przez (*nomen omen*) pana Weczera, pokazał mi gotową recenzję mojego tomiku poetyckiego *Powidok powietrza*, który po drugoobiegowym *Poemacie w czerwieni* (1984) miał być oficjalnym debiutem (1993). Okazało się jednak, że powstała opinia kompetentna i wnikliwa do bólu, syntetyczna i zarazem analityczna – ze wskazaniem utworów dobrych i słabych, wartych usunięcia. Tak na własnej skórze poznałem talent Leszka jako krytyka, niezwykle płodność jego długopisu i szalone tempo tworzenia. Pierwszy rys do portretu był zatem tekstowy, dopiero potem wyłoniła się żywa Osoba.

Związaliśmy się z Instytutem Filologii Polskiej niemal równocześnie. Obaj z wieloletnim poślizgiem, spowodowanym zawirowaniami życia i polityki, już po ukończonych doktoratach, choć opóźnienie startu naukowo-dydaktycznej „kariery” w Jego przypadku było o dziesięciolecie dłuższe niż moje. Przez jakiś czas podwójna tożsamość powodowała zabawne nieporozumienia. I kiedy pytałem grupę studentów, czy następne zajęcia będzie miała z doktorem Leszkiem Szarugą, zaprzeczła z chóralnym zdziwieniem: „Nie, teraz mamy z doktorem Aleksandrem Wirpszą”.

Zatrudniony w Zakładzie Historii Literatury XX wieku (sąsiadującym z naszym Zakładem Teorii Literatury), często nas odwiedzał. Uczestniczył w regularnych zebraniach naukowych i toczących się na nich burzliwych debatach. Łatwo staliśmy się kolegami, niezauważalnie dryfując w stronę przyjaźni. Szybko nawiązywał znajomości, a gdziekolwiek przybył, natychmiast stawał się postacią centralną i duszą towarzystwa. Mówił głębokim,

lekką zachrypłą basem, a potwierdzał wypowiedź rozmówcy powszechnym wówczas germanizmem: „dokładnie”.

Od razu też został drugim, obok profesora Erazma Kuźmy, autorytetem – trochę wobec niego opozycyjnym, trochę suplementarnym. Alternatywnym. Nie tylko dlatego, że dystansował się od wszelkich zagadnień teoretycznoliterackich, a zwłaszcza ponowoczesnych metodologii, pośród których irytował go zwłaszcza dekonstrukcjonizm. Polemizował z głębokim przekonaniem, żarliwie, niekiedy agresywnie. Odrzucał rewelacje postmodernizmu, bliższa mu była literacka awangarda, poezja lingwistyczna i konkretna – zarówno w badaniach naukowych, jak i w praktyce pisarskiej. Jako historyk literatury współczesnej zajmował się – w naturalnym następstwie swej opozycyjnej przeszłości – literaturą drugiego obiegu i emigracyjną.

I akceptował, i podważał przydzieloną mu automatycznie rolę Mistrza. Prędko skracał dystans, wybierając pozycję starszego (o lat 10 lub kilkanaście) kolegi, który chętnie dzieli się swą wiedzą i doświadczeniem czerpanym z innej, choć przyległej epoki. Łatwo zapominało się, że dzieli nas przepaść generacyjna, że rozmawiamy z przedstawicielem już zmonumentalizowanej Nowej Fali.

Kiedyś w przerwie między zajęciami spotkałem go na długim korytarzu (który przechował jeszcze fatalną akustykę byłych koszar) i postanowiłem „pokazać” studentom tę żywą legendę. Trochę nie zdawałem sobie sprawy, że stoję przed pokoleniem, dla którego hasło „Nowa Fala”, jeśli nie jest już pustym dźwiękiem, to odsyła do przeszłości równie zamglonej jak pokolenie Kolumbów. On sam wyraźniej odczuwał ten dystans chronologiczny, nazywając studentów, z czułą wyrozumiałością wobec ich niewiedzy historycznej, „moje dzieci”.

Aktywność dydaktyczna, w której występował wyłącznie jako dr Wirpsza, pozostaje poza zasięgiem mojego świadectwa, ale mogę przytoczyć zdarzenia do niej zbliżone, w których uczestniczyłem: był zawodnikiem w jednym z corocznych meczów piłkarskich, rozgrywanych w ramach uniwersyteckiego Dnia Sportu (28 czerwca 2001) „Wykładowcy – Studenci”. Zainicjował też utworzenie studenckiego „nieregularnika” zatytułowanego prowokacyjnie i ostrzegawczo: „Womitorium”, którego promocję poprowadziłem.

Przez parę lat żył w pociągu, autoironicznie nazywając ten tryb „wolnością na wazilce”. Jego aktywność przebiegała głównie w trójkącie: między berlińskim radiem, warszawską literaturą i szczecińską uczelnią z hotelem asystenckim. Pojawiał się zwykle w ciemnoszarej marynarce, która skrywała piersiówkę z nieznanym napojem i czarny błyszczak do obuwia. Był jednoosobową instytucją podzieloną na co najmniej trzy profesje. Na spotkaniu autorskim towarzyszącym współorganizowanej przeze mnie konferencji teoretycznoliterackiej *Literatura wobec niewyraźnego* w Międzyzdrojach (26–29 września 1996 r.) powiedział o sobie: „W Berlinie jestem dziennikarzem, w Warszawie poetą, a w Szczecinie naukowcem”. Ta efektowna autocharakterystyka pomija jednak szereg innych ról, które wskazane miejsca łączyły: krytyka, eseista i przede wszystkim tłumacz.

Okazał się nieoceniony w kontaktach z literatami z Niemiec, zapraszał ich i zamawiał szybkie przekłady poezji u najlepszych tłumaczy, a współpraca ta rozwijała się najsilniej

w gorącym (a nawet gorączkowym) czasie organizowania polsko-niemieckiego spotkania „Dialog’94”. Wydarzenie to zbiegło się z długim i bolesnym porodem Szczecińskiego Kwartalnika Kulturalnego „Pogranicza” (21 grudnia), z którym od początku podjął intensywną współpracę, publikując między innymi cykl wspomnieniowy *Podróż mego życia*.

W listopadzie 1999 roku zamieszkał (choć nadal przelotnie) w moim bliskim sąsiedztwie, wynajmując mieszkanie na Osiedlu Arkońskim, w bloku, od którego dzieliło mnie ledwie 100 metrów.

U siebie w domu gościłem go tylko dwukrotnie. Najpierw 18 marca 1993 roku, tuż przed wydaniem *Powidoku powietrza*. Spożywaliśmy modne wówczas piwo Koszerne, pożywiając się wędzonymi szprotkami, które, co charakterystyczne, zjadał w całości, razem z wnętrznościami. Drugi raz – tuż przed stresującym dla niego kolokwium habilitacyjnym.

Kiedy jako dydaktyk związał się z Częstochową, a potem z Warszawą, widywaliśmy się rzadziej – przeważnie podczas jego wizyt na spotkaniach autorskich, w tym również jubileuszowych. Częściej pośrednio i jednostronnie – głównie przez teksty i radiową „Dwójkę”, w której wybrzmiewał Jego głos jako dyskutanta i felietonisty.

Ukazywało się wówczas wiele tytułów czasopism literackich, kulturalnych i innych, a wciąż powstawały nowe. Niezależnie od klasyfikacji prasoznawczej, można je podzielić na dwie grupy: większą stanowią te, w których Leszek publikował, a mniejszą – pozostałe. Tekstowo spotykaliśmy się głównie na łamach współredagowanych przeze mnie „Pogranicza” i „Tekstualistów”, w których zdarzyło mi się polemizować z Jego poglądem na temat pastiszu.

W 2001 roku wydał aż 11 książek i nawet jeśli była to liczba rekordowa w skali historii literatury polskiej, to nie mam pewności, czy sam swego rekordu nie pobił w innym roku.

W praktyce poetyckiej próbował różnych form, stylów i technik, jakby wszechstronnie testując swe twórcze moce w obszarach zarówno klasyki, jak i eksperymentu. Od kunsztownego sonetu po poezję lingwistyczną i konkretną. Od poetyckiego traktatu po epifanię. Od filozoficznej powagi po wierszowany żart w stylu Barańczaka i Szymborskiej. A w prozie – od polityki po fantastykę w poetyce Borgesa.

Kolejny swój wieczór autorski w Piwnicy przy Krypcie, 25 stycznia 1996, Leszek wypełnił roziskrzonym humorem lingwistycznym. 1 marca 1996 roku jubileusz jego 50. urodzin obchodziliśmy w prowadzonym przez profesor Danutę Dąbrowską Zakładzie Historii Literatury XIX wieku.

Prowadząc jeden z Czwartków Literackich (17 lutego 2000), których był bohaterem, zatytułowany na Jego życzenie *Ludzki język Muz*, mimochodem wspomniałem nieopatrznie, że Jerzy Giedroyc w wywiadzie udzielonym „Odrze” parokrotnie wymienił Leszka Szarugę jako „eksperta od literatury polskiej”. Leszek zdziwił się wielce (wszystko wskazuje, że reakcja była autentyczna), a po spotkaniu zbeształ mnie za wyskok z tak nieoczekiwaną laudacją. Nie wiem, na ile był to przejaw skromności wobec nadmiernego wywyższenia, ale inne sytuacje wskazują, że uważał nominację szefa paryskiej „Kultury”

za przesadną, gdyż w żaden sposób nie aspirował do posiadania literackiej wszechwiedzy, a dobrze czuł się jedynie w wybranych obszarach: literatury emigracyjnej, drugiego obiegu, współczesnej poezji polskiej i niemieckiej.

15 czerwca 2000 roku jako dyżurny panegirysta napisałem wiersz z okazji jego habilitacji. Przybył też na obchody swego 60-lecia w Klubie 13 Muz, 16 marca 2006 roku. Na tę okazję trzynastozgłoskowcem napisałem dedykowany mu panegiryk *Pan Leszek* (poema z lekka autotematycznie-intertekstualne).

3 czerwca 2015 roku na 70-lecie urodzin nasz Instytut zorganizował sesję poświęconą Jego twórczości *Z przypisami i bez. Klucze do twórczości Leszka Szarugi*. Prócz ciekawych rozpoznań interpretacyjnych pozostawiła ona wrażenie, że przedstawione referaty stanowiły zaledwie wybiórczy rekonesans, natomiast pełne opracowanie dorobku pozostaje zadaniem, które wystarczy jeszcze na niejeden doktorat i niejedną monografię. Z taką świadomością niepełności wygłosiłem referat, potem rozszerzony w szkic, będący zarysem syntezy, opublikowany w „Tekstualiach” (2020, nr 4).

21 września 2021 roku w klubie Pro Media odbył się wieczór autorski zamykający obchody kolejnego jubileuszu, tym razem 75-lecia. 19 kwietnia 2023 roku w Piwnicy Kany wystąpił jako autor aż pięciu kolejnych książek, spośród których były szkice o literaturze ukraińskiej i znakomity, może najlepszy w dorobku tom poezji. Nie wiedzieliśmy, że będzie to spotkanie ostatnie.

Wyzwaniem jest obszerność bibliografii podmiotowej, za którą nie nadąża bibliografia przedmiotu, ponieważ nie mam pewności, czy wszystkie książki Leszka doczekały się recenzji czy jakiegokolwiek krytycznego komentarza. Śmiałków, którzy podejmą się ułożenia kompletnego spisu, ostrzegam, że może on przekraczać rozmiarem bibliografię Miłosza. Tymczasem źródła internetowe podają niezgodne liczby, zapewne niezaktualizowane: 26 lub 37 tomików poetyckich, 5 lub 8 książek prozatorskich i 10 lub 13 eseistycznych – sugerując, że łącznie sam dorobek książkowy przekracza pół setki pozycji. Nie przeczytałem wszystkich tekstów. Nie nadążałem i nie sądzę, że komukolwiek się to udało. Zdołałem opublikować zaledwie 4 recenzje (w „Nowych Książkach”, „Arkuszu”, „Literaturze” i „Kwartalniku Artystycznym”) i osobno zinterpretować sonet *Upał* („Pogranicza” 2005, nr 6), a więc tego rodzaju spotkań intertekstualnych z Szarugą na łamach pism miałem znacznie mniej niż osobistych, które zdarzyły się w przestrzeni pozatekstowej.

To sytuacja rzadka. Zwłaszcza gdy mówimy o Kimś, kto za życia stał się postacią z historii literatury i nią pozostanie.



Fotografia – Danuta Deckert